

Nie! nie! Do takiego upodlenia nie doszedł jeszcze! Czyż to raz w życiu bywał głodny, a jednak nie zazdrościł nikomu, nie pragnął nikomu wydzieścić kęsa z ust... Bywało tak nieraz, ale wtedy był młodszy, miał więcej sił i nadziei, a dzisiaj stary, wyczerpany organizm domaga się posiłku, koniecznie posiłku, który podtrzymałby upadające siły...

W tej chwili ogarnął go lęk.

Co będzie, jeśli zachoruje... On nie chce umrzeć tutaj, w Pradze, gdzieś w szpitalu, na obcej ziemi...

Nie! Trzeba być zdrowym, trzeba się trzymać!... Koniecznie... koniecznie... do powrotu.

Gilewski wziął gazetę, sam dobrze nie wiedział jaką i chciał czytać. Usiłował wmówić w siebie, że wiadomości dziennikarskie interesują go w tej chwili bardzo — daleko więcej, aniżeli ta pani, która usiadła niedaleko, rozłożyła wędliny w papierze, nakłada mięsem kromki chleba i je, zapijając herbatą. Co go to właściwie obchodzi, że ludzie wokół niego jedzą, jedzą i jedzą... Chciał czytać, ale nie mógł — nie rozumiał ani słowa, litery tańczyły mu przed oczyma, przybierając kształty pulchnych bułeczek, pękatek serdelków, podłużnych kiełbasek i t. p.

Jak długo tak siedział z gazetą w ręku — nie umiałby tego określić.

Ocknął się dopiero wtedy, kiedy zatrzymała się przed nim z tacą w ręku Anielka Żurakowska.

Niosła szklankę herbaty z mlekiem, kilka posmarowanych kromek chleba i talerzyk z dwiema parkami kiełbasek.

Na twarzy miała mocne wypieki i spoglądała na starego nieśmiało, trwożliwie, błagalnie... Wszystko, co niosła, postawiła, drżąc cała ze wzruszenia przed Gilewskim i wzniosła ku niemu swoje szafirowe oczy z niemą prośbą.

Stary spoglądał zdumiony, nie rozumiejąc — podrażniony do najwyższego stopnia jadłem, które niespodzianie wykwitło przed nim, jakby piekielna jakaś pokusa dla wygłodzonego żołądka.

— Może... może... — zaczęła Anielka, szukając słów dla wypowiedzenia swojej prośby — może pan będzie łaskaw... zjeść podwieczorek...

Staremu artyście krew falą uderzyła do głowy. Zrozumiał.

Wyprostował się nagle, na zniekaną twarz jego wystąpił wyraz dumy i chłodu.

Jakto więc on tak nie umiał zapanować nad sobą, nad wyrazem swej twarzy, że ta dziewczyna wyczytała mu z oczu pożądliwość jedzenia i przyniosła mu jałmużnę?!

Nie! Gilewski jałmużny nie brał nigdy i na stare lata jej nie weźmie!

Odpart więc zimno:

— Przepraszam panią, ale to pomyłka... Nie prosiłem o nic... Nie jestem w tej chwili głodny...

Anielka nie wyglądała jednak wcale na kogoś, kto przyszedł ofiarować jałmużnę lub wyświadczyć jakąś łaskę... W oczach miała prośbę bezmierną, pokorę dziwną, nieśmiałość trwożliwą i głębokie zawstydylenie...

Dziewczyna od dłuższego czasu obserwowała Gilewskiego. Zainteresowała ją jego zniekana, zmęczona twarz o rysach szlachealnych, twarz człowieka o wyższej wartości. Sledziła go uważnie i pochwyciła jego spojrzenia nerwowe, urwane, niespokojne ruchy, bolesne skurcze twarzy, a w zaczerwienionych oczach starego wyczytała rzecz nieznaną sobie, rzecz straszną, o której słyszała tylko, czytała nieraz, że ona być na świecie może — wyczytała w jego twarzy głód.

I przeraziła się, a przede wszystkim zawstydyła. Poczula palący wstyd za siebie, za ciotkę, za tych wszystkich, którzy chodzili syć, podczas gdy ten stary człowiek z szlachezną, myślącą twarzą, musiał cierpieć.

Kiedy, zebrawszy całą swoją odwagę, skierowała się z zastawioną tacą ku Gilewskiemu — szła jak winowajczyni — pokorna i żądna przebaczenia... Nie wiedziała, jakimi słowami ma przemówić do niego, aby go skłonić do przyjęcia tego, co mu tak nieśmiało w poczuciu własnej i całego społeczeństwa winy — ofiarowywała. Prosiła bez słów o przebaczenie...

A teraz on ją odtrąca... Nie zechce zjeść i wyjdzie stąd głodny, jak przyszedł... Musiała go obrazić, postąpiła brutalnie, niedelikatnie...

— Boże! Boże! Jak go przeprosić, ubłagać, jak przemówić do niego? — zaczęła się dręczyć. Ustąpić nie chciała i nie mogła...

— Proszę pana... proszę... bardzo proszę...

Więcej mówić nie mogła, łyż dławili jej głos.

Gilewski spoglądał na nią uważnie i twarz jego łagodniała powoli. Odczuł, że odmawiając, wyrządziłby dotkliwą przykrość tej dziewczynie o jasnym spojrzeniu, upokorzyłby ją głęboko, zranił szlache

serce. Opanował się i odpowiedział krótko z serdecznym jakimś akcentem w głosie:

— Dziękuję pani.

Oczy Anielki trysnęły snopem radosnych światła. Ucieszona, że drażliwa kwestya już załatwiona, usiadła przy Gilewskim i pospieszenie skierowała rozmowę na inny temat. Pudełko z kartkami zwróciło jej uwagę.

— Co to? — zapytała.

— To są kartki, które sprzedaje! — odparł z pewnem wahaniem Gilewski — Reprodukcyje sztuki polskiej i czeskiej...

— Doprawdy?! Czy można obejrzyć? Jestem ogromną miłośniczką artystycznych kartek — zapewniała Anielka — w domu mam całe stosy albumów i ciągle kompletuję moją kolekcję...

Gilewski podał jej pudełko. Anielka zaczęła oglądać kartki, głośno zachwycając się pięknosciami niektórych. Zwróciło to uwagę kilku innych osób, to też wkrótce przy pudełku z kartkami skupiła się mała gromadka.

Oglądano reprodukcyje, porównując szkoły malarzkie i poszczególnych malarzy, chwając lub ganiąc rozmaite szczegóły zarówno w samym pomysśle obrazu, jak w wykonaniu reprodukcyi.

Gilewski zaczął jeść. Przy pierwszym kęsie, który włożył do ust, zapomniał o wszystkim co się wokół niego działo. Zapomniał o Anielce, o kartkach, o otaczających go osobach, wreszcie o świecie całym. Odczuwał w tej chwili tylko zwierzęcą, bezmyślną rozkosz nasycenia wygłodzonego żołądka i dopiero kiedy zaspokoił pierwszy głód, opamiętał się i zaczął brać udział w rozmowie.

Ożywił się, oczy zabłysły mu jakimś światłem, które promieniowało gdzieś z głębi.

Uwagi jego na temat kartek, malarzy, kierunków w sztuce wskazywały, że człowiek ten kochał, czuł i rozumiał sztukę, a najmniej nawet domyślny mógł odgadnąć, że nie zawsze musiał być przez kupniem kartek i że młodości jego inne przyświecały gwiazdy.

W krótkim czasie rozkupiono przeszło sto kartek i Gilewski, zgarniając pieniądze, odetchnął z ulgą. Jutro i pojutrze miał zapewniony ciepły obiad.

Powoli zainteresowanie, które na chwilę skupiło się wokół osoby Gilewskiego i jego kartek osłabło. Kupujący kartki odeszli, a nawet Anielka, pożegnawszy starego serdecznie, oddaliła się, bo wzywały ją obowiązki dyżurnej.

Gilewski znowu został sam.

ROZDZIAŁ XI.

Pani Krystyna ożywiona, odmłodzona, z wesołymi błyskami w oczach, szła spieszenie przez ulicę, zwracając mniejszą niż zwykle uwagę na stroje przechodzących pań i eleganckie wystawy sklepów z nowościami mody przedwiosennej.

Od rana zakupywała rozmaite rzeczy dla „swoich“ rannych, jak ich nazywała. Była już w trafice i w sklepach spożywczych, zakupiła stosy sucharków, ciastek, cukierków i kazała odesłać sobie do domu kosz wina, zaopatrzyła się w rozmaite inne przysmaki i drobiazgi, które mogłyby sprawić, jej zdaniem, przyjemność chorym żołnierzom. Nie zapomniała nawet o kartach do gry i szachach, o których na odchodnym wspomniła jej wczoraj pielęgniarce.

Teraz spieszyła do księgarni, w której były polskie książki na składzie.

— Całuję rączki pani dobrodziejce, padam do nóżek! Dokąd tak spieszo, jeżeli wolno być ciekawym?

Pani Krystyna, wyrwana z koła swych myśli, drgnęła i odwróciła głowę.

Ucieszyła się, zobaczywszy Potyrowskiego.

— Ach! Jak to dobrze, że pana spotykam, panie Alfredzie... Prawda, że zechce pan być mi pomocnym?

— O! pani, czy może pani pytać... W ostatnich czasach rzadko i krótko tylko mam szczęście widywać panią... Znika pani, porwana przez wir towarzyski i zapomina o wiernych, oddanych przyjaciółach...

Ostatnie słowa Potyrowskiego przeszły mimo uwagi pani Krystyny. Impulsywna kobieta jeden widziała w tej chwili cel przed sobą, a Potyrowski przedstawiał się jej jako pożądany, użyteczny pomocnik.

— Panie Alfredzie, wiem że z pana znawca literatury, a przytem subtelny psycholog, który zna do głębi naturę ludzką...

Potyrowski skłonił się nisko. Oczy błysnęły mu zadowoleniem, chociaż nie wiedział, do czego właściwie te pochlebne słowa zmierzają. Przez głowę przemknęła mu błyskawicą szalona, radosna myśl,

że pani Krystyna chce może wbrew wszelkim konwenansom światowym i towarzyskim wyznać mu swoją ukrywaną dotąd uczucia i zaczyna od tak ogólnikowego wstępu.

Dalsze jednak słowa pani Wolskiej rozwiały natychmiast to złudzenie.

— Sądę, że pan może mi służyć radą i pomocą, której w tej chwili potrzebuję! — kończyła pani Krystyna — Idę do księgarni... Chcę zakupić dużo książek rozmaitej treści... Mają to być i jakieś rzeczy wesołe, humorystyczne i miłosne, powieści i poezye, mogą być także jakieś historyczne opowiadania, żołnierskie obrazy z bieżącej chwili, wreszcie lepsze rozprawki naukowe...

Potyrowski ośupił ze zdumienia.

— Ależ, pani dobrodziejko — po co to wszystko?!

— Aha! Prawda, że pan nie wie o niczem!... Boże! Jaka ja roztargniona! Trzeba mi było od razu zacząć od początku! Otóż, krótko mówiąc, postawiłam sobie od wczoraj za cel mego pobytu w Pradze opiekę nad naszymi polskimi chorymi i rannymi żołnierzami... Oni tacy samotni tutaj, tacy biedni, a nam przecie najbliżsi. Prawda, panie Alfredzie, pan mnie rozumie? Zechce mi pan być pomocnym w spełnieniu tego trudnego zadania! Byłam już w kilku sklepach, nakupiłam rozmaitych drobiazgów, żeby sprawić tym naszym kochanym biedakom jakąś chwilę przyjemności, żeby dać im dowód, że my, ci, którzy zostaliśmy, kochamy ich, pamiętamy o nich... Ale teraz najważniejsza rzecz, książki... Oni pragną polskiej lektury, tęsknią za słowem polskim... Ja chciałabym zrobić dobry wybór, żeby dogodzić rozmaitym umysłom, odmiennym upodobaniom i usposobieniom...

Pani Krystyna mówiła jednym tchem, nie zwracając żadnej uwagi na minę, jaką w tej chwili miał Potyrowski.

On, tak doskonale umiający zwykle ukrywać swoje wrażenia, nie zdołał tym razem opanować się na tyle, aby na twarzy jego nie odmalowały się uczucia bezsilnej złości, zawodu, zdumienia.

Z błyskawiczną szybkością uświadomił sobie, ile to pieniędzy wydać musiała pani Krystyna na rzeczy, z których on nie mógł wyciągnąć żadnej dla siebie korzyści.

Ogarnął go taki niepohamowany gniew, jak gdyby pani Wolska okradła go z jego własnego majątku.

Do tego stopnia był wytrącony z równowagi, że omal nie krzyknął głośno:

— Co tej zwaryowanej babie strzeliło znowu do łba?! Wściekła się, czy co?!

Potyrowski od dłuższego czasu czuł, że bogata wdowa wymyka mu się z rąk, omijając zręcznie sidła, które na nią zastawił. Targał nim bezsilny gniew, że mógł się tak zawieść i pomylić w swoich rachubach, które zdawały mu się matematycznie pewnymi.

Coraz fatalniejsze materyalne położenie doprowadzało Potyrowskiego do napadów szaleństwa po prostu.

Zorganizowana samopomoc społeczna dla uchodźców wytrącała Potyrowskiemu z rąk jedyny środek jego utrzymania, zbieranie składek na „biednych“.

Potyrowski miał wprawdzie jeszcze swoje „ofiary“, w tem kilka zamożnych, naiwnych kobiet, ale ta „filantropijna akcja“ szła coraz oporniej, trzeba było zadowalać się najmniejszymi kwotami i ograniczać się w wydatkach.

Potyrowski zmuszony był zmienić swoje eleganckie mieszkanie na bardzo skromny pokój w brudnej oficynie.

Cicha, pokorna Antoniowa zaczynała nabierać śmiałości i oświadczyła kilkakrotnie Potyrowskiemu, że nie myśli dłużej odgrywać roli jego sługi i przypominać z dziećmi z głodu. Dotychczas udawało mu się jeszcze zawsze poskramiać ją pogrózkami, ale czuł, że to może urwać się lada dzień.

Na domiar złego Ignac nie opuszczał go, przyczepił się do niego jak pijawka, wyciskał z niego ostatnie pieniądze i coraz częściej pytał niecierpliwie i szyderczo:

— No cóż tam z tą wdową?! Kiedy ślub?!

Potyrowski czuł, że do celu swego nie zbliża się, lecz oddala się od niego. Nie tracił jednak nadziei. Spostrzegł, że pani Krystyna zaczyna nudzić się w Pradze, obmyślał już więc sposoby wykorzystania tego chwilowego usposobienia.

Aż tu nagle taka niespodzianka! Ranni żołnierze! I znudzenia, melancholii ani śladu! Tkliwego powiernika, który mógłby grać na strunach rozkapryszony duszyczki kobiecej nie potrzeba — nie! Teraz pani Krystyna pragnie tylko doradcy, który pomógłby jej wyrzucić pieniądze „za okno“.

Potyrowski zacisnął zęby z gniewu.

(Dalszy ciąg nastąpi).